ROZMAITOŚCI.

Dnia 20 września, N^er 38. roku 1845.

Niewolnica baszy.

(Ciąg dalszy.)

II.

Nazajutrz rano udała się Baila znowuż w towarzystwie murzynki do ogrodu. Głównym celem jéj dzisiejszéj przechadzki było zniszczenie śladów nieznajomego, gdyby jakie po nim w piasku ogrodowych ulic pozostały. Wszakże wiatr nocny uprzedził ją w téj czynności i zatarł wszelkie znaki jego pobytu w haremowym ogrodzie. Tylko w jedynéj alei, wiodącéj ku rzéce czerwonéj, postrzegła zadumana niewolnica niedawno wyciśnięty, mały, kształtny ślad buta, odmienny wcale od szérokich sandałowych śladów bostandżego lub baszy. Ujrzawszy zaś to czego szukała, stanęła niewiedząc, co ma czynić, gdyż byłto jedyny znak który po śmiałym Franku pozostał, jedyna jego pamiątka, — i żal się jéj zrobiło, zniszczyć ją na zawsze.

Dlaczegoż? Miałażby ta pamiątka przemawiać do jéj serca?

Bynajmniéj. Byłto jeden z chwilowych kaprysów kobiécych, a pomiędzy wszystkiémi kobiétami, odaliski są najbardziéj niedocieczone.

Lub chciałaż może aby Djazzar-basza ten ślad obaczył, mniemając, iż on jego zazdrość obudzi, a témsamém i nową zapali go miłością?

Jakkolwiek bądź, uwzięła się Baila zachować tę jedyną pamiątkę nieznajomego młodzieńca, nie zważając na przestrogi murzynki, która jéj przedstawiała w najstraszniejszych kolorach przeznaczone dla schwytanych tu śmiałków męczarnie. Jednakowoż aby ten ślad ile możności ukryć, powyciskała Baila swoją własną drobną nóżką liczne wokoło ślady, i zasłoniła całe miejsce ponachylanémi gałęźmi drzew poblizkich, które właśnie były te same, jakie w jéj oddalonéj ojczyźnie rosły, i pod których cieniem tak często, dziecięciem będąc, igrała.

Odtąd czuła osobliwsze przywiązanie do tego miejsca, które jéj oraz ojczyznę i tajemniczego młodzieńca przypominało. Ojczyznę opuściła bez najmniejszego żalu, i ów nieznany cudzoziemiec był jéj zrazu tylko próżném zjawiskiem — lecz dotknięte zobojętnieniem baszy, a rozmarzone w samotnéj gnusności serce, zapragnęło teraz zaspokojenia tych dwóch uczuć — zamiłowania ojczyzny i ciekawości, i przywiązało się, jakeśmy wyrzekli, z dziwną wytrwałością do tego miejsca.

Przez cały miesiąc więc chadzała ku owemu ustroniu w pobliżu czerwonéj rzéki, marząc tam nieustannie o swoim rodzinnym kraju, o miłości, któréj przynajmniéj powinna była tam doznać, i o nieznajomym młodzieńcu, którego obraz zawsze jakimś niepojętym sposobem z témi tęsknémi marzeniami o rodzinie i kochaniu się wiązał.

Tymczasem przywrócił niestały basza znów swoje serce Baili. Ta zaś, jakby chcąc go za jego zmienność ukarać, używała surowo odzyskanéj i coraz pewniejszéj nad nim władzy, i dręczyła go, jak nigdy jeszcze żadna turecka niewolnica z swoim panem tego czynić nie śmiała. Dziwiono się téż powszechnie, że Djazzar-basza, przed którym wszystko drżało, ulegał wszelkim grymasom swéj pięknéj niewol-

nicy, którą jedném skinieniem, jedném półsłówkiem mógłbył na wieki unieszczęśliwić — zgładzić.

Rozeszła się nawet pogłoska w paszaliku, iż gdyby Baila chciała, Djazzar-basza przeszedłby na wiarę żydowską.

A byłto przecież straszny i groźny człowiek. Jak go Djazzarem, to jest rzeźnikiem przezwano, tak téż w istocie nie cenił bardziéj krwi ludzkiéj, niż rzeźnik krwi bydlęcéj. Lubo wychowany w konstantynopolitańskim seraju, i uczeń sułtana Mahmuda, nie przejął on się żadną myślą reformacyjną, starał się tylko protekcyję dywanu sobie zjednać, a zresztą zachował nienaruszenie typ starodawnych baszów, którzy jako rówiennicy osławionego Ali-paszy z Janiny, byli istnymi ludożércami.

Przysądzając sobie podwójny urząd, sędzi i kata, wydawał w okamgnieniu wyroki śmierci i sam je natychmiast wykonywał, a czasem nawet kat wyprzedził sędziego, i prędzéj dopełniła się kara niż zapadł wyrok.

Nikt téż nie dorównywał mu w zręczném i szybkiém ścinaniu głów jataganem, lub ugodzeniu z pistoletu w samoż serce nieszczęśliwéj ofiary.

Mówiono o tém w Siwas, jakby o nadzwyczajnym talencie, który zaszczyt i sławę mu przynosił.

Jednego razu przyprowadzono przed niego dwóch Arabów oskarzonych o zbrodnię, którą sobie obaj wzajem zarzucali. Chociaż jeden mógł być oczywiście niewinnym, basza jednakże, nie wiedząc co z nimi począć, kazał obudwóch plecami dosiebie przymocować, a poczém dobywszy szabli wyrzekł: iż głowa którą przypadkiem zetnie, będzie głową winnego. Na tak stanowczą wyrocznię, starali się obaj obwinieni odchylić głowę od baszy, a ztąd powstało gwałtowne szamotanie obudwóch, co niewymownie baszę bawiło. Wkońcu odwinąwszy szablę, ciął z takim zamachem — że obie głowy razem spadły. Ten niespodziany dowód siły i wprawy uradował tak mocno Djazzara, iż mimo zwykłą powagę, nie mógł się wstrzymać od śmiéchu, który mu się rzadko wydarzał — a z jego rubasznym dzikim głosem miészał się ryk lwa, w sąsiednim pokoju zamkniętego, a teraz zapachem ludzkiéj krwi rozbestwionego.

Lew ten był najmilszym polubieńcem Djazzara. Od dawna już panował zwyczaj pomiędzy baszami Sivas, jakotéż baszami innych prowincyi, iż przy wszelkich uroczystościach w towarzystwie lwa występowali. Poprzednik Djazzara, Galib, miał potwornego lwa, którego, jak mówiono, ciałami janczarów żywił. O fanatycznym Djazzarze opowiadano, iż od czasu do czasu apetyt swego ulubionego Hejdera — tak jego lew się nazywał — chrześcijańskiemi trupami zaostrzał.

Ten więc dziki i straszny człowiek nie był zapewne tkliwéj i wzniosłéj miłości zdolnym, lecz obdarzony namiętnym, lubieżnym temperamentem, mógł był wszystko ulubionéj przez siebie kochance oddać, nawet własną wolność i zuchwałość poświęcić, i najchętniéj téż, ile miał czasu, w haremie, obok Baili przepędzał.

Nadewszystko zaś lubiał bawić w letnim pałacu Kizel-Ermak, nad czerwoną rzéką, gdzie na kosztownych poduszkach i dywanach rozpostarty, rozkoszował u stóp swéj pięknéj niewolnicy, paląc róże z Taify, zmieszane z tytoniem z Malatia i Latoki, dodając doń czasami listek ziela *hassich*. ziarnko opijum, lub nawet odrobinę arszeniku, dla rozognienia znużonéj wyobraźni.

Baila paliła także czasami tę upajającą mieszaninę, a gdy tak sam na sam, zatopieni w półsennych marzeniach, ozionieni błogim szalem, sprawionym przez używanie soku z konopi indyjskich i maku z Abutik, rozkosznie obok siebie spoczywali, on roił o huryskach niebieskich i siódmém niebie, ona dumała może o swoim śmiałym młodzieńcu — a natenczas i lew Djazzara, Hejder, przystępował powolnym krokiem ku nim, i legał swobodnie u nóg pana i niewolnicy, albo raczéj w téj chwili, u nóg pani i niewolnika.

Gdyż opiérając się tak niedbale łokciem na kudłatéj grzywie strasznego źwiérza, i kołysząc dowolnie głowę Djazzara na kolanach, zdała się młoda, delikatna, za-

przedana dziewica panować w istocie obudwu dzikim zwierzętom, wiodła lwa i człowieka po swojej woli, i była jedyną wszechwładną panią w tem ustroniu niewieściej rozkoszy.

A nie jest to daremne panowanie, gdy niewolnica na chwilę w panią się zmieni. Skoro Baila nanowo miłości Djazzara się zapewniła, musiały wszystkie rywalki ustąpić jéj przewadze. Jedna z nich, piękna Ayesza, ośmieliła się na nieszczęście swoje, prosić baszę o przebaczenie pewnemu bostandżemu, którego za lekkie przekroczenie na karę śmierci skazano, i została za tę śmiałość sama na utratę nosa skazana, będąc oraz zmuszoną oddać rękę temuż samemu ułaskawionemu winowajcy. Teraz Aysze sprzedaje leguminy na targu Mejdan i jest tam powszechnie pod nazwą *Burnussez* — beznosa — znaną. Drugą rywalkę Baili, piękną córę Amassyi, wyprowadzono tożsamo, wskutek nieustannych nalegań naszej wszechwładnéj Mingrelki, na publiczny targ, i sprzedano ją pierwszemu lepszemu bogaczowi, — szczęśliwą jeszcze, że losu Ayeszy nie doświadczyła.

Lecz Baila, doznawałaż przeto większego szczęścia? byłaż zadowoloną swoim losem, którego wszyscy jéj zazdrościli?

Jakże mogła być zadowoloną, nie mogąc zaspokoić swéj coraz drażliwszéj ciekawości? nie wiedząc co się z Francuzem stało?

Przebywałże on wciąż jeszcze w krainie Sivas? Nie myśliż ponowić jeszcze swego śmiałego kroku, i zakraść się do ogrodu, jak to murzynka z obawą przewidywała? — Lub wróciłże może nazad do swéj ojczyzny, do Francyi, gdzie kobiety jak słychać, mają pierwszeństwo nad mężczyznami? — Ta niepewność stała się męczarnią Baili, i lubo na żadnéj rzeczywistéj okoliczności nie uzasadniona, sprawiała skutek istotnego cierpienia.

Tymczasem rozeszła się pogłoska, iż Djazzar na polowaniu, jakiegoś w krzewach pod murami haremu ukrywającego się Turka zabił. Czując konieczną potrzebę zajmowania się w myślach swym tajemniczym nieznajomym, i powzięcia pewnego o jego losie zdania, uroiła sobie Baila, iż ten zabity Turek byłto niezawodnie ów śmiały cudzoziemiec, iż turecki strój zabitego, był umyślnie dla tem łatwiejszéj przeprawy do ogrodu przybrany, że dla niéj — jedynie dla niéj zginął.

Stosownież do tego istotnego lub mylnego wyobrażenia, przybrała niewolnica baszy posępną, żałobną minę, obchodziła się z Djazzarem, jakgdyby wcale o jego łaskę, to jest o swoje życie, nie dbała, i tylko o swoim zabitym kochanku marzyła.

Jedyną pociechą w tym żalu bywała dla Baili przechadzka po owéj stronie ogrodu, gdzie pierwszy i ostatni raz nieszczęśliwego młodzieńca zoczyła. Tam szła dumać nad zachowanym dotąd śladem jego stopy, osłaniając go starannie przed nieprzyjaźnym powiewem wiatru. Tam, siedząc pod cieniem tych samych palm niebotycznych, pomiędzy któremi wonczas śmiały Frank się pokazał, odłomała dwie małe gałązki, oberwała je z liści, złożyła wpoprzek, związała złocistym sznurkiem, oderwanym u własnej sukni, i zatknęła ten krzyżyk na miejscu śladu w piasku, aby ta przynajmniéj pamiątka tam pozostała, gdy wiatr do reszty ślad jego stopy rozwieje.

Na widok krzyża, Maryam, zrodzona z chrześcijańskich rodziców w Abyssynii, gdzie religija Chrystusa powszechnie jest wyznawaną, żegnała się pobożnie, rzucając trwożnym około siebie wzrokiem.

Baila westchnęła żałośnie, jak dziécię widzące zniszczoną zabawkę, którą się przez długi czas cieszyła. Poczém pożegnała czule ulubione miejsce i wróciła smutna, stroskana do pałacu.

Odtąd nie chciała już więcéj ani śpiewem, ani tańcem, ani żadną pieszczotą rozweselać Djazzara, odpowiadając ponurém milczeniem na wszelkie jego zaloty.

Jednego razu, rozgniewany jéj niesłychaném w haremie dziwactwem, opuścił ją ledwie dysząc ze złości, i nie kazał sobie przez trzy dni ani wspominać o niéj.

Czwartego dnia dano znać iż w pokojach Baili rozległ się krzyk przeraźliwy, zdający się być głosem niewieścim, zmieszanym z lwa rykiem. Djazzar posłał tam dowiedzieć się, co zaszło, lecz sam ani na krok nie postąpił.

Wyprawieni przez baszę ludzie zastali piękną niewolnicę zamkniętą sam na sam z lwem Hajderem. Bogaty kobierzec z Korasana był podarty w kawałki, a wszędzie leżały najkosztowniejsze szczątki potłuczonych zwierciadeł, porozbijanych sprzętów, wreszcie połomanych prętów wiśniowych. Nieład ten był skutkiem walki, która się między lwem a odaliską toczyła. Zapędziwszy lwa do swego pawilonu, zastąpiła mu drzwi Baila, i uzbrojona wiązką wiśniowych prętów, zaczęła go tam bić co siły, biorąc od chwili do chwili pręt świeży, gdy się poprzedni na ciele niebezpiecznego przeciwnika połamał. Lew przyzwyczajony do posłuszeństwa na głos pana który go żywił, i do zginania się pod ręką która go uderzała, nie myśląc się wcale bronić, skakał z miejsca na miejsce, unosząc za każdym skokiem kawał kobierca na pazurach, aż wkońcu zniecierpliwiony boleścią, przysiadł śród okropnego ryku na ziemi, podniósł jednę ze swoich strasznych łap w górę, nadstawił ostre pazury i przybrał groźną, odporną postawę, gdy wtém bostandżi i inni uzbrojeni w oszczepy ludzie weszli.

Za otwarciem przez nich drzwi, umknął lew, nie przed nowymi przybyszami, lecz przed odważną Mingrelką, która go jeszcze czereśniowym prętem ścigała.

*

Tegoż samego dnia, wieczorem, straszne to źwierzę, zbite i pognębione przez niewolnicę, przyczołgało się pokornie, jak pies wyuczony, do stóp Baili, błagając przebaczenia.

Tożsamo stało się także z Djazzarem. Od tegoż samego dnia zaniechał on niedawno okazywanego gniewu i zbliżył się również pokornie i uniżenie do swojéj niewolnicy, obsypując ją kosztownémi darami. Zwycięztwo Baili nad Hajderem przejęło go niewymownem uszanowaniem dla niéj.

Zwycięzka Mingrelka przyjęła obu pokonanych przeciwników z zimną godnością, która za ostatni znak surowości uchodzić mogła.

Tak stała się Baila istotną panią całego haremu baszy. Rywalki jéj były już oddalone; reszta niewolnic okazywały tak uległe przed nią poddaństwo, iż rozkazywanie im nie sprawiało już żadnéj radości; basza uznał zarówno z całym dworem jéj wyższość i słuchał jéj skinienia; sam lew nawet ugiął się pod jarzmo niewolnicy, panującéj tak wszechwładnie, iż w tym całym haremie, gdzie wszystko czołem przed nią biło, wszystko jéj rozkazów czekało, jednego tylko miała nieprzyjaciela, a tym nieprzyjacielem były — znudzenie i tęsknota.

Wkrótce potém udał się basza z pałacu Kizel-Ermek do swojéj stolicy Sivas. Baila umyśliła mu towarzyszyć. Pobawiwszy dni kilka w mieście, odmieniła się nagle do niepoznania. Odzyskała dawną wesołość, była znów żywą i hożą, czarowała znów baszę śpiéwem i tańcem, pieściła nawet Hajdera.

Mówiono iż ta zmiana w drodze, na widok cisnącego się wokoło tłumu ludzi, cudownym prawie sposobem zaszła. Wróciwszy zaś dawne wesele pięknéj Mingrelce, rozsępiła tażsama zmiana i baszę, a od niego rozeszła się nowa radość pomiędzy wszystkich otaczających go dworzan. Tak cały pałac baszy przybrał dawną wesołą postać, i jak z powodu Baili był sponurzał, tak też z jéj powodu znowu się rozradował.

Lecz przyczyna téj powszechnéj radości była tylko saméj niewolnicy wiadoma. —

III.

Przejeżdżając z baszą w otwartym palankinie przez miasto Sivas, ujrzała Baila śród tłumów uciekającego lub kłaniającego się przed Djazzarem pospólstwa, jedynę spokojną postać, nie spieszącą się ani do trwożnéj ucieczki, ani ugiętą do pokłonu. Najprzód zdziwiło to Bailę, że liczni wokoło kawasowie nie zmusili tego człowieka do przybrania uniżeńszéj postawy, potém przypatrzywszy mu się dokładniéj, postrzegła, iż ma na sobie strój europejski. Uchyliwszy, niby przypadkiem, swojéj podwójnéj, muślinowéj, złotémi gwiazdami nakrapianéj zasłony, poznała wreszcie rysy nieznajomego — „To on!” wyrzekła mimowolnie półgłosem i dwa przyjazne spojrzenia spotkały się w przelocie.

Cudzoziemiec zmieszał się zrazu, olśniony blaskiem, bijącym od tak niezwykłéj krasy; lecz odzyskawszy w téjże chwili przytomność, wzniosł z pełnym miłości wyrazem oczy ku niebu, położył rękę na sercu, trzymając w niéj jakiś maleńki, promieniący się w słońcu przedmiot, którego jednak Baila dobrze poznać nie mogła.

Wszakże ta śmiała i nieroztropna scena skończyła się w okamgnieniu. Palankin uniósł Bailę daléj, a nieznajomy pozostał sam śród tłumu.

Jako! więc on nie zginął?! — nie był zastrzelony przez baszę?! — lub był może tylko ranny, i wyzdrowiawszy, pośpieszył coprędzéj na spotkanie swéj pięknéj przyjaciółki?!

Zresztą któż on jest? Jaki jego stopień między Frankami? Stał tak śmiało, nie pochylony, w czasie przejazdu baszy! Sami kawasowie zdawali się go poważać... Ach, ileżto jeszcze tajemnic do odgadnienia jest w świecie. — Lecz mniejsza o stopień i o godność! To jedno pewne, że ją kocha szalenie, że pragnie z nią się widzieć, że nieochybnie dziśjutro znowu do ogrodu się wkradnie — a ta nadzieja przyćmiła wszelkie inne myśli i wątpliwości. Ach, gdyby jéj nieznajomy, jak ów wielki sułtan Napoleon, dowodził armiją we Francyi, jakże chętnie zezwoliłaby wtedy nato, aby sobie Francuzi jaknajprędzéj cały paszalik Sivas zdobyli! Natenczas mogłaby ujść z haremu, mogłaby się udać — i widziała się już przeniesioną do Francyi, gdzie jéj piękność, tutaj własność jednego, byłaby podziwianą i wielbioną przez wszystkich, gdzie tysiące serc musiałyby się korzyć jéj wdziękom, gdzie śród tych tysięcy wolnoby jéj było, wybrać sobie jedno — kochane serce.

Tak bez pomocy odurzających opiatów, liści ziela *hassich*, lub ziarnka arszeniku, otaczała się Baila, jakby kłębami najwonniejszych kadzideł, tłumem słodkich rojeń i marzeń — lecz gdy ta senna ułuda zgasła, gdy te marzenia wionęły, spadał jakiś nieznany ciężar na jéj piersi, owładała ją jakaś martwa nieczułość, lub dręczyła ją dziwna, niepojęta tęsknota, wyrywająca ją precz z tych miejsc, unosząca ją gdzieś ku nieznanym jéj prawie ludziom, ku owemu cudzoziemskiemu młodzieńcowi — nieustannemu widziadłu wszelkich jéj mrzonek i dumań.

W takich chwilach cierpienia, nieznanego gdzieindziéj jak tylko w świetnem wiezieniu haremów, była jedyną pociechą i powierniczką Baili murzynka Maryam. Jéjto postanowiła piękna Mingrelka zwierzyć się i tym razem, objawiając jéj swoje nieutłumioną żądzę powzięcia bliższéj wiadomości o tajemniczym nieznajomym.

„Och, przez Chrystusa!” zawołała poczciwa murzynka. „Nie powtarzaj tych niebacznych wyrazów,

nie wspominaj mi o tym Franku; — już i tak za wiele o nim słyszałam...”

»Jakto!” wskrzyknęła z najżywszą radością niewolnica.

„Och, ten cudzoziemiec nas obie zgubi — Boże! gdybyś pani wiedziała!...”

„Więc go znasz! Cóż? Nie prawdaż? Widziałaś go! Cóż ci powiedział!?”

»Co? — ja? — Nic o tém nie mówiłam. Na anioła czarnego! ani słowa ci o tém, pani, nie powiadałam.”

„Ach, sama — sama się zdradzasz! Ja wiém żeś go widziała.”

„Cicho! Cicho, na Boga!” zawołała stara murzynka z drzeniem. „Twoja niecierpliwość mnie, ciebie i jego w przepaść wtrąci.”

„Jego?! Co mówisz! Miałżeby on być tutaj! Mów! Zaklinam cię na Boga!”

„Och, na Boga Chrześcijan, który był waszym bogiem, i zawsze jeszcze jest moim — gdyby nasz pan to wiedział, kazałby mię niezawodnie w sztuki posiekać i rybom do stawu wrzucić!”

»Nasz pan o niczém wiedzieć nie będzie. Czyż nie wiesz że wyjechał do Tokat? Nie wróci zapewne aż za dni kilka. Tymczasem jesteśmy tu paniami, i możemy się bezpiecznie na niejedno ośmielić, o czém basza nigdy się w życiu nie dowie.”

»Daj Boże aby się nie dowiedział.”

»Lecz o czémże to — o czém — mógłby się basza dowiedzieć?!”

»Cyt, bądź spokojna! a dziś wieczór go obaczysz.”

To rzekłszy wyśliznęła się murzynka czémprędzéj z komnaty, aby tylko dłużéj tak niebezpiecznej nie prowadzić rozmowy, któraby ktokolwiek mógł podsłuchać. I nie trzeba też było więcéj aby Baili do reszty zmysły pomieszać. To »dziś — wieczór” stało się teraz dla niéj hydrą najsroższego niespokoju i ciekawości. Dla ukrócenia czasu, a może także dla wywarcia tém większego wrażenia na swoim wieczornym gościu, uciekła się Baila do przygotowań toaletowych, których, jak wiadomo, najważniejszą na Wschodzie częścią jest łaźnia. Tam więc udała się niewierna oblubienica baszy, a tymczasem jeden z bostandżich przywiózł do ogrodu haremowego kilka ogromnych skrzyń z kwiatami, poustawiał je pomiędzy kląbami, a jedne najodleglej w tak cienistym zakątku, iż jéj prawie całkiem widać nie było. Nad wieczór gdy się już zmierzchło, przystąpił tenże sam bostandzi do téj skrzyni, uchylił wieko, a ze środka wyskoczył nasz nieznajomy. Nie mówiąc ani słowa, skinął przekupiony przewodnik na młodzieńca, i poprowadził go zcicha, pustą i ciemną już aleją, ku pawilonu pierwszéj z kochanek baszy.

Baila była jeszcze w kąpieli, gdy weszła murzynka Maryam i znak jéj dała. Na to odprawiła odaliska służebnice, przeznaczone do zaczesywania włosów i maszczenia ciała woniami, udając na pozór, jakby już na spoczynek pójść pragnęła.

Po odesłaniu niewolnic ubrała się za pomocą murzynki z takim pośpiechem, iż jéj pas kaszmirowy na poły tylko niedbale zarzuconą suknię ztrzymywał, i jeden tylko długi, ze skroni aż ku stopom zwisający, przejrzysty welon, dziewicze skarby jéj piękności osłaniał.

Idąc do sali, gdzie nieznajomy na nią już czekał, drzała na całém ciele, wilgotném jeszcze od różanéj wody kąpieli, i spierając się na murzynce —

„Strach mię zdejmuje!” szepnęła do niéj z cicha.

Poczciwa murzynka, doprowadziwszy tak dalece całą niebezpieczną przygodę, poczuła się teraz do obowiązku ośmielania samejże zapamiętałéj Baili, i zaczęła jéj naprawdę przymawiać, aby nie zatrważając się niczém, korzystała z chwil drogich, które może nigdy już nie powrócą. Baila uśmiechnęła się szyderczo, gdyż ten nagły przystęp obawy był zapewne tylko jednym z wymysłów owéj sztuki wschodniego zalotnictwa, któréj tak długo u swego szwagra w Trebizondzie się uczyła. Jakoż ośmielona zbyt rychło przymówkami murzynki, wstąpiła odważnie do sali w obec nieznajomego.

W sali, przy słabém świetle dwóch woniejących świec, ustawionych na okrągłym stoliku, stał młody cudzoziemiec, cały w głębokiém pogrążony dumaniu, wsparty jedną ręką o stolik, trzymając drugą u czoła.

Na szelest sukni Baili podniósł nieznajomy młodzieniec głowę, złożył ręce na piersiach, jakby w znak niewymownéj, zachwycającéj radości, wzniósł oczy w górę, a ich spojrzenia błyszczały tak żywym i jasnym ogniem, iż pięknéj Mingrelce się wydało, jakby nagle światło w półmrocznéj sali się podwoiło.

Wtém Maryam znikła, chcąc tém lepiej u wchodu nad swoją panią czuwać, a namiętna Baila, pozostawiona sama jedna z nieznajomym, z tak dawnym, nieodstępnym towarzyszem swych marzeń, upragnionym kochankiem swojéj tęsknoty, zarzuciła nagle wtył welon i okazała się młodzieńcowi w całym blasku swojéj georgijańskiéj piękności.

Poczém usiadłszy na sofie, skinęła nań uprzejmie, aby siadł przy jéj boku.

Lecz cudzoziemiec stał nieruchomy na miejscu, zasłaniając sobie tylko oczy po części, jakgdyby nadzwyczajną jasnością były olśnione.

Baila wzięła to za skutek swoich wdzięków, i pyszna z tego wrażenia, ponowiła z słodkim uśmiéchem poprzednie zaproszenie zajęcia miejsca przy niéj.

Na to powtórne wezwanie przystąpił Francuz ku sofie, i zginając się przed Bailą ku ziemi, jakgdyby chciał u stóp jéj uklęknąć, ujął z spuszczonémi oczyma koniec długiego welonu odaliski, i całą ją nim osłonił.

Osobliwszy ten postępek zadziwił nieco Bailę, lecz pomyślała sobie, iż to może jest używany we Francyi sposób okazywania swojéj miłości, i czekała, jak młody Francuz daléj swe uczucia wyrazi.

Natenczas usiadł nieznajomy młodzieniec w niejakiém oddaleniu na sofie i ozwał się cichym i uroczystym głosem:

„Racz mię posłuchać, pani. Chwila obecna może stać się dla ciebie jak i dla mnie początkiem nowej ery, ery zbawienia i chwały.”

Baila nie rozumiała znaczenia tych wyrazów i zbliżyła się ku niemu, aby lepiéj słyszeć, co mówi.

Nieznajomy rzekł daléj:

„Jesteś chrześcijanką z urodzenia. Mingrelia twoją ojczyzną...”

Te słowa wprowadziły niecierpliwą Mingrelkę na myśl, iż jéj nieznajomy kochanek pochodzi sam z Kolchidy, iż mówiąc z taką dokładnością o jéj rodzinnym kraju, musiał ją znać tam jeszcze, gdy była przy rodzicach, że zatém miłość jego nie jest dzisiejszą, lecz z całém ich poprzedniém życiem się wiąże. Teraz stała jéj się nawet pamięć rodzinnéj ziemi daleko słodszą, gdy ją z wyobrażeniem dawnéj połączyć mogła miłości, przysunęła się jeszcze bliżéj ku młodzieńcowi, wpatrzyła się weń ciekawie, i chcąc w rysach jego twarzy znane już sobie przypomnieć oblicze, zapytała poufnie:

»Jesteś więc przyjacielem moich braci.”

To mówiąc, położyła rękę na jego ręce, mniemając w istocie witać w nim towarzysza młodości.

Młody Francuz podniósł się szybko z sofy, odstąpił o krok od ponętnéj odaliski, i uczyniwszy znak krzyża świętego, przemówił głosem uroczystym:

„Tak jest, pani, jestem przyjacielem twych braci, twych braci chrześcijan, uciśnionych jarzmem niewoli, podeptanych stopą okrutnego tyrana, braci, którzy przez ciebie mogą się stać szczęśliwymi. Srogi Daher, pan większéj części Syryi i Palestyny, przybrawszy sobie za ministra chrześcijanina Ibrahima, został sam obrońcą nauki Jezusa Chrystusa. Czyż nie wywierasz większego wpływu nad swoim panem, Djazzarem, niż miał Ibrahim nad okrutnym Daherem? Ciebieto, któréj, jak mówią, lwy się oprzéć nie mogą, przeznaczył Bóg na drugą Esterę, abyś zmieniła serce Ahaswera, i przyczyniła się do oswobodzenia i chwały swojego ludu. Tak jest, wiara moja to mi objawiła. Za twoją pomocą basza Ali-ben-Ali, ten Djazzar, ten rzeźnik niewinnych ludzi, będzie już odtąd tylko na nieprzyjaciołach kościoła srogość swoję wywiérał; dzięki twemu usiłowaniu, niebieska jasność, promieniąca się z kalwaryjskiego krzyża, rozejdzie się wokoło, i najbardziéj zatwardziałe serca przeniknie....”

„Nędzniku!” krzyknęła zniecierpliwiona Baila, przyszedłszy do siebie z osłupienia, w jakie ją tak niespodziana mowa wprawiła. — „Nędzniku, po cóż tutaj przyszedłeś!”

„Przyszedłem ubolewać nad tobą, płakać nad twojém przeszłém życiem, i dopomódz ci do zmycia z siebie plamy twojéj przeszłości. Przyszedłem zbawić ciebie, a z tobą wszystkich naszych nieszczęśliwych, uciemiężonych braci.”

»Idź precz, zesłanniku szatana! Idź precz zuchwały!” powtórzyła odaliska, osłaniając się welonem i kryjąc się jaknajstaranniéj przed wzrokiem nieprzyjaciela swojego pana — nie z innéj przyczyny, jak tylko że on religiję Mahometa wyznaje.

Lecz młody zapaleniec nie dał się tém odstraszyć. Przejmując się coraz żywszą gorliwością nawrócenia pięknéj Mingrelki — „Nie!” zawołał. »Nie odepchniesz mnie tym sposobem.] Bóg, który mię myślą tego świętego posłannictwa natchnął, odmieni twoje serce...”

»Bóg twój, nie jest moim Bogiem. „Precz ztąd bezczelny!”

„Nie bluźń przeciwko Bogu twoich ojców! Nie powstawaj przeciw téj świętéj wierze, która, być może, mimo twéj woli i wiedzy, tkwi jeszcze w twojém sercu. Któż — jeżeli nie ty — zatknął ów krzyżyk z pręcików w ustronnym kącie ogrodu? Na cóżeś go tam skryła, jeźli nie nato, aby przed nim tajne modły do Boga chrześcijan wznosić?”

To wspomnienie krzyżyka, którym ona pamięć swego mniemanego kochanka uświęcić chciała, zapaliło ją tém większym gniewem. Upokorzona w swojéj zaślepionéj miłości, wstydząca się przed samą sobą swego tak długo żywionego obłędu, w którym sobie Francuza swoim wielbicielem, kochankiem wyobrażała, obrażona w głębi swéj duszy, gotowa była wydać teraz Francuza na najsroższe męczarnie, pragnęła zemścić się na nim, i chciała już wezwać murzynki, gdy drzwi się nagle otworzyły a basza wszedł z orszakiem zbrojnych kawasów.

Bądź że gniew Mingrelki doszedł do najwyższego stopnia, bądź że chęć tém jawniejszego uniewinnienia odjęła jéj wszelką litość, obróciła się żywo do przybyłych i wskazując palcem na Francuza —

»Zabijcie go!” zawołała. »Zabijcie go natychmiast!”

Zagrożony młodzieniec zatrzymał na chwili smutny i litościwy wzrok na Baili, która mimowolnie przeraziła się tém spojrzeniem, poczém podniósł spokojnie głowę, i stał nieporuszony.

Jeden z kawasów dobył szabli: Djazzar odwrócił cios.

„Nie,” — wyrzekł basza spokojnie — „niech nie ginie tak prędko;” — a wiodąc śledczym wzrokiem po chrześcijaninie i odalisce, dodał okropnym, acz przytłumionym głosem: »Krew jego nie powinna wytrysnąć za jednym razem, jak zdrój fontanny,

lecz sączyć się powoli, jak kropla po kropli z źródła na skałę spada.«

Po tych słowach szepnął coś niewolnikowi do ucha. Wyprowadzono chrześcijanina. —

(Dokończenie nastąpi.)

MODLITWA.

(NADESŁANA.)

Srodze nas Panie dotknęła twa ręka,
Czyli to nasze, czy złe przodków czyny
Sciągnęły gniew twój, kara co nas sięga,
Nadto jest ostra za największe winy!

Ciężkieć to wprawdzie grzéchu ojców brzemię,
Lecz weź na szalę sądu ich téż cnoty,
Nie karlą stopą mierz olbrzymie plemię, —
Czyż plamy słońca zćmią zdrój światła złoty?

Nawet jeżliby niezbłagane cienie
Dawnych przekroczeń o pomstę wołały,
Weź Panie naszą dolę na baczenie
I ten półwiecznych nieszczęść szereg cały!

Łzą naszych dziewic zabiegły źrenice,
Smętne mogiły zdobią się w ich wieńce,
Rozpacz na mężów wybiła się lice,
Przedwcześnie w smutku starzeją młodzieńce!

I wtenczas kiedy w krwawym pocie czoła
Pracujem gorzko by wybrnąć z odmętu,
Nowa nas klęska zalega dokoła
I niszczy wszystkie zabiegi do szczętu!

Przecież my prawa Twojego zakonu
Czcimy i ojców mowę, obyczaje,
Za świętą prawdę nie boim się zgonu,
A wiara w przyszłość za wszystko nam staje.

A tu o Panie, do naszéj zaguby
Zgodnie się sprzeczne sprzysięgły żywioły,
Wody i wichry w szalone przeguby
Dziedzinę naszę drą, szarpią na poły!

Wody wzrastają! I głębiéj i wyżéj
Z okropnym szumem wrą, kipią bałwany,
Powódź wokoło spustoszenie szérzy,
Morzem zalewa urodzajne łany!

Straszno wynikłe fale za falami
Płyną o Panie! Jak zbrodni ogniwa,
Jak w Twéj mądrości wyrokach nad nami,
Taka w jedności ich wszechmoc spoczywa!

A nad topielą wyje burza dzika,
Wpośród niéj jęki mrących z głodu dziatek,
I straszny odgłos co duszę przenika:
»Chleba, bo pomrzem!« rozlega się z chatek!

Jeźli się próżno ścielem pod Twe stopy
I łask twych słońce zćmiły chmur całuny,
Na głowy nasze zléj Panie potopy
I wszystkie Twoich obłoków pioruny.

Bo cóż o Panie winne są te dziatki,
Co korne rączki ku niebu składają
A w pierwszem słowie, przed imieniem matki,
Twe wielkie imię, Boże, wymawiają?....

Czy w Częstochowéj czy to w Milatynie,
Czy na Kalwaryi czyto w Ostréj Bramie,
To święte imię z łask i cudów słynie —
Jęk głodnych siérot niech Twój gniew przełamie!

Mar.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* **T. W. Kochańskiego** wyszedł nr. 37my i zawiera: 1) Wezwanie do robienia gospodarczych doświadczeń porównawczych. 2) O wpływie karmu na fizyczne rozwijanie się bydła. 3) O sposobie leczenia parcia czyli kolek końskich, z zatrzymaniem kału i moczu, lub tylko z zatrzymaniem moczu połączonych. Przez Franciszka Wolańskiego. 4) O gorączce inflamatoryczněj u bydła. 5) Jeszcze słów kilka o zielu przeciw zarazie bydła. Przez Napoleona Raciborskiego. 6) O wystawie przemysłowéj w Paryżu. (Wyjątek z listu.) 7) Sposób użyźniania gruntu żeby się na nim rodził dobry len. 8) O żywych płotach w Galicyi. 9) Roztwór do bejcowania nasion zbożowych. 10) Wiadomości handlowe.

Ks. Józef Lewicki, były pleban w Szkle, a teraz w Hryszowie, obwodzie samborskim, pozyskawszy pozwolenie wysokiego rządu, wydawać będzie pismo czasowe w ruskim języku, pod nazwą: *»Biblijoteka biesiéd duchownych.«* — Pismo to poświęcone wyłącznie przedmiotom homilitycznym, katechetycznym i rozprawom pastoralnym, wychodzić będzie zacząwszy od roku 1846go, corocznie w sześciu zeszytach po 5 arkuszy. Cena prenumeraty, którą przyjmuje drukarnia biskupia w Przemyślu, wynosi rocznie jeden złr. monetą konw. Rozprawy, które z podpisem autorów umieszczać się będą, chętnie przyjmie redakcyja Biesied duchownych.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc wrzesień zawiera: 1) O znaczeniu Prus dawnych, przez D. Szulca. Dokończenie. 2) Hanna, powieść historyczna, p. E. Chojeckiego. 3) Wyciągi z rękopismu Pedagogiki ułożonéj przez T. Sierocińskiego. 4) O uwadze i rozwadze. Wypis z dzieła R. T., podany przez T. Sierocińskiego. 5) Poezyje — Paraska, z podania gminnego, p. A. C. 6) Rzut oka na wystawę płodów przemysłu krajowego 1845go r., p. F. Miaskowskiego. 7) Kronika literacka. 8) Rozmaitości — i t. d.

Las bursztynny. Przed wielą tysiącami laty — w tak zwanéj tercyjarnéj dobie przed stworzeniem człowieka — wznosiły się na dnie dzisiejszego Bałtyku ogromne lasy, w których ów, już w mitologii usymbolizowany, a w dzisiejszym wielkim świecie niezbędnie potrzebny bursztyn się rodził. Średni punkt tego przedwiecznego boru, leżącego o przeszło 120 stóp głębiéj od teraźniejszych brzegów bałtyckich, znajdował się w odległości 70 mil na zachód od wyspy Bornholm. Za czasów potopu został ten bór powoli prądem wód, jakoteż północnemi burzami, po większéj części zniszczony, a wskutek tego spłynął także i bursztyn niżéj ku południowi, gdzie w ten sam sposób na ówczesne wybrzeża był wyrzucany, jak podziś dzień na teraźniejsze. Wiadomo zaś jest, iż wybrzeże bałtyckie nieznacznie coraz wyżéj się wznosi, przezco téż brzegi, a wraz z niemi i składowe warstwy bursztynu, zwolna coraz daléj ku północy zpod wody występowały i z czasem namuloną gliną, piaskiem i skalistémi bryłami się okryły. W długim przeciągu czasu posunęły się te brzegi aż do swojéj dzisiejszéj rozległości, tam zaś gdzie one dawniéj leżały, kopie się dzisiaj bursztyn. — Jestto niemałym tryjumfem dla ludzkiéj wiedzy, iż możemy nawet oznaczyć, z jakich drzew i roślin ten las bursztynny się składał i jakie rodzaje źwiérząt w nim żyły. Większą tedy część tego lasu składały drzewa śpilkowe, sosny, cyprysy,

jałowcy, cisy, *thuja, ephedra.* Z drzew liściowych rosły tu dęby, buki, graby, kasztany, prawdopodobnie też brzozy i topole, jakoteż mniejsze wrzosy ze skórkowatem liściem. Oprócz tego okrywała ziemię bujna, najrozmaitsza flora, z której śladów się okazuje, iż klimat tutejszy był wtedy omałoco goręcszy od dzisiejszego. — Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne, iż kopal, dammar, i różne rodzaje żywicy ze wnętrza drzew się sączą. W tenże sam sposób tworzył się niegdyś bursztyn, wyciekając w nieprzebranej ilości z głównego korzenia, lub też kory i pnia pewnego zaginionego rodzaju sosny, którą według pojedynczych, w niektórych bryłach bursztynu zachowanych odłamków drzewa, anatomicznie rozebrano i do rodzaju *pinus succinifer* policzono. Potrzeba było bardzo długiego czasu do skupienia tych niezmiernych skarbów, które przez tyle wieków bez znacznego ubytku całe okoliczne wybrzeże bursztynem zaopatrywały. — We wszystkich publicznych i prywatnych zbiorach bywają po większej części same sztuczne wyroby z bursztynu okazywane; lecz nierównie ważniejsze dla umiejętności są surowe bryły bursztynu, w których organiczne szczątki pierwiastkowego stworzenia są zawarte. Jakoż w rozbieranych dotąd 2000 kawałkach bursztynowych znaleziono przeszło 800 rodzajów rozmaitych owadów. Cóż tu za niezliczone mnóstwo tych zwierząt być musiało! Roje dwuskrzydlatych, błonkowo-skrzydlatych, stonóżnych, beznóżnych owadków, pająków, chrząszczów, mulów, pszczół, mrówek, świerczów i tysięcznych innych rodzajów zapełniały ten las bursztynny. Wodne owady zdarzają się bardzo rzadko w bursztynie; z ssących zaś zwierząt i z ptaków, znachodzono dotąd tylko włosy i pióra. Zresztą wszystkie te rodzaje roślin i zwierząt, których szczątki w bursztynie się zachowały, zupełnie już wyginęły.

Życie towarzyskie w Brazylii. Jeden z najnowszych podróżnych udziela następnych szczegółów o zwyczajach wielkiego świata w Rio Janeiro: »Zamiast powozów są tu w powszechnem używaniu lektyki w kształcie tronu, otoczone zasłoną z ciemnej materyi, ze złotemi frędzlami, przez dwóch murzynów noszone. Ekwipażów tu niemasz, a to z rozlicznych przyczyn, pomiędzy któremi najważniejsze, iż drogi tutejsze bywają zazwyczaj tak złe, iż żaden powóz po nich jechać nie może, powtóre, ponieważ w całym kraju bardzo mało jest koni, a wreszcie, iż niesłychanie trudno o siano i o owies. Najmajętniejsi, którzy koniecznie konie chcą trzymać, sprowadzają takowe ze wschodnich Indyjów, a owies i siano z Anglii. Zato panuje nadzwyczajny zbytek w utrzymowaniu licznej służby, która przeładowana galonami, w jasnych liberyjach, trójkątnych kapeluszach, wysokich butach, przy kordelasach i ogromnych ostrogach, hardo po mieście paraduje. Wszelkie przepisy mody bywają tu z największą surowością przestrzegane, bez żadnego względu na klimat. I tak np. nieśmiałby nikt okazać się w białych pantalonach na salonie, lecz chcąc nie chcąc musi w naszych brzydkich czarnych spodniach występować, zwłaszcza iż na kartach zapraszających wyraźnie wymieniano bywa: »panowie w czarnych pantalonach.« Teatr cesarski jest wprawdzie nie bardzo jasno lecz oryginalnie oświetlony; nie masz tam bowiem jednego dużego lampionu, lecz porozstawiane wkoło świéce w szklannych kulach, co osobliwsze wrażenie sprawia. Parter zachowuje się bardzo niespokojnie, bawiąc się podczas międzyaktów zagłuszającym koncertem piania i szczekania, co jedno i drugie publiczność tutejsza nader zręcznie naśladować umie. Kupcy rio-janeirscy są obojętni i hardzi jak Turcy; chcąc u nich co kupić, trzeba ich o towar jak o łaskę prosić; czasem nie odpowiadają wcale na zapytanie gościa, i pozwalają mu odejść z niczem, nie przemówiwszy słowa do niego. — Wielką uciążliwością jest tu zbytek pieniędzy papierowych, gdyż bitej monety nigdzie prawie nie widać, oprócz miedzianej, która jest niesłychanie ciężka. Ztądteż kawiarnicy, kupcy i t. d. mają zazwyczaj własne prywatne papiery czyli asygnaty na szklankę lodów, bifsztyk i t. p. Te asygnaty kursują nie tylko w domach swych właścicieli, lecz owszem w całem mieście, i tak np. drągarzów płaci się po większej części asygnatem na butelkę wody z sodą.

Dla czytelników »Żyda wiecznego« nie powinnaby następująca tajemnicza wiadomość być obojętną. Niemiecka »Gazeta znad Wezery« donosi: »Podług dziennika, wychodzącego w szwedzkiém mieście Eskilstuna, spodziéwa się tamtejsza rodzina Flon znacznego spadku z Francyi. Wkońcu dodaje tenże sam dziennik: Jeźli prawda, co tu powszechnie utrzymują, iż ten wielki spodziewany majątek ma być częścią owego ogromnego dziedzictwa rodziny Rennepont, o którém Sue w swoim »*Żydzie wiecznym*« wspomina, i że uidealizowany w tymże romansie Hardy, jest nie kto inny jak tylko zmarły krewny rodziny Flon, pan Thierry, tedy nabyłby romans pana Sue większego znaczenia dla Szwecyi, niż którykolwiek czytelnik wyobrazić sobie może.«

Ideał przekupki. Przed niedawnym czasem umarła w Paryżu *Demoiselle Osanne*, będąca istotnie najznamienitszém zjawiskiem, jakie się kiedykolwiek w świecie przekupek okazało. Zaczęła ona od sprzedawania łachmanów, a skończyła jako pani pięciu milijonów. Przytém słynęła za czasów cesarstwa i restauracyi ze swego niezrównanego smaku w rzeczach toalety i elegancyi, co jéj też do tak wielkiego majątku dopomogło. Zacząwszy bowiem, jakeśmy wspomnieli, od sprzedawania łachmanów, umiała oszczędnością, przemysłem i stopniowém rozszerzaniem handlu, tak dalece początkowy swój towar uszlachetnić, iż wkońcu najkosztowniejsze suknie dworskie i najrzadsze przybory w świetnych sprzedawała apartamentach. Uzbiérawszy ogromny majątek, kupiła panna Ozanne w Paryżu, przed baryjerą Rochechouart, dawny zamek królewski z parkiem. Oprócz tego posiadała kilka innych majętności w stolicy i na prowincyi. Umarła w późnym wieku, przy ulicy Chambat, niedaleko wielkiej opery, której nadobne bajadery przed laty za pomocą nabytych albo pożyczonych u panny Ozanne świecideł, nieochybnie serca napoleońskich, a późniéj i sprzymierzonych bohatérów podbijały. Zamek p. Ozanne — *le château rouge* — dostał się po jéj śmierci w ręce spekulantów, którzy jéj spadkobiercom 600.000 franków zań zapłacili. Zresztą była panna Ozanne niesłychanie skąpą, i posiadając 5 milijonów majątku, nie chciała nigdy szeląga na restauracyję swoich posiadłości wydać. Trzéj dalecy krewni, którzy nieznając nawet panny Ozanne, w jednem z przedmieść paryzkich jako ubodzy wyrobnicy, w nędzy życie wiedli, odziedziczyli cały jéj ogromny majątek i są teraz bogaczami.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.